

ODRA
Wrocław

wydanie
Nr 47 z dn. -7 Grud. 1958

JAN KOTT

ANNA KAMELIOWA

WIDZIAŁEM tylko raz jeden w życiu adaptację wielkiej powieści, która dawała pełną satysfakcję intelektualną i artystyczną. Była to adaptacja „Wojny i pokoju” Tolstoja, zrobiona przez Piscatora i pokazana w warszawskim Teatrze Ludowym przez Irenę Babel. Piscator potrafił przenieść do teatru przestrzeń i czas, pokazywał bohaterów Tolstojowskich w gwałtownych spięciach albo kazał im pospiesznie monologować. Ale były to spięcia i monologu zgeszczzone, ukazane na prawach dramatycznej epiki. Narrator razem z nami czytał, ukazywał i komentował dzieło Tolstoja. Wyrwał

z ciemności zdarzenia i charakteru jak wielkie dramatyczne cytaty.

Rotbaum zrobił adaptację sceniczną „Anny Kareniny”. Przerobił ją. Ale na co? Wydaje mi się, że to jest pytanie najważniejsze. I że odpowiedź jest jedna. Rotbaum przerobił „Annę Kareninę” na osiemnaście obrazów i jedną lokomotywę. Na osiemnaście opisowych i rodzajowych ilustracji. Podobno nie dopisał ani jednego zdania. Wierzę, że to jest właśnie najbardziej uderzające. Tekst, który wyciął, na pewno nie obejmuje nawet jednej dwudziestej powieści. Wydawałoby się pozornie, że będzie gęsty, że będzie pękał od myśli i konfliktów. Pomyślcie tylko:

ekstrakt jednej z największych powieści dziewiętnastowiecznych. Jakże musi w nim być piekielne stężenie! Tymczasem ten tekst wydawał się nam ciągle za rozwlekły, za duży, za przegadany w stosunku do treści. Rotbaum z prawdziwej Tolstojowskiej „Anny Kareniny” wziął tak mało, że historię którą przedniósł na scenę, dałoby się opowiedzieć w trzech zdaniach. Ze stała się ona płaska i nieznośnie trywialna. Ze został z niej tylko żalosny melodramat z życia wyższych sfer. Anna Karenina? Nie! „Anna Kameliowa”. Historia pewnej pani, która zdradziła męża, żyła z kochankiem, nie liczyła się z opinią i rzuciła pod pociąg.

Ta sentymentalna anegdota, którą Rotbaum wyczytał w „Annie Kareninie”, okazała się zbyt wątpliwa dla teatru. Trzeba ją oyle dopiero sztucznie rozepchać. I rozepchał ją Rotbaum monstrualnie. Zamiast dramatu — wystawa. Ale jaka wystawa! Salon, jeden, drugi, trzeci, rauty, poród, samobójstwo, wyścigi konne, opera, dziecko w łóżku, dziecko w kołysce, trzynaście razy bohaterka zmienia suknie, lokomotywa wjeżdża na scenę. Lokomotywa jak żywa, zupełnie prawdziwa, prawdziwszą obejrzeć można tylko na dworcu. Bardzo blisko z teatru.

Rotbaum mógłby mi odpowiedzieć, że wszystkie te sceny są w powieści. Niewątpliwie są! W powieści ludzie noszą ubrania. Są we frakach, w sukniach balowych, w mundurach. Można sobie wyobrazić przeróbkę powieści jako wystawę wszystkich części garderoby, które bohaterowie kiedykolwiek mieli na sobie. Byłoby to nawet interesujące, tyle tylko, że nie w teatrze, lecz w PDT.

Nie więc dziwnego, że w tej przeróbce powieści na wystawę sukien i mebli nastąpiło zupełne odwrócenie naszego stosunku uczuciowego do wszystkich postaci. Z Anny, cudownej Anny, która jest samą prawdą i rozczarowanym uczuciem, która nie mieści się w świecie egoizmu i obłudy, która nas wzrusza i poraża od pierwszej do ostatniej karty powieści, zostało białe i narwane kocięciatko, któremu potrafimy tylko współczuć. I to nie do końca, bo już od połowy drugiego aktu ta Anna Rotbaumowska tak nas denerwuje, że byśmy ją jak najchętniej wyprawili na dworzec. Nawet nie konieczne w celach samobójczych.

Cała nasza sympatię zagarnia za to Karenin. Świetny urzędnik, dobry ojciec, zaenw człowiek, który robi, co może, żeby tę wariatkę ocalić od zguby. Jest właściwie wzorem dobrego męża: na stanowisku, bogaty, dobrze wychowany, przeczadowy, wierny, tolerancyjny. Nie znam mężczyzny, który by w sytuacji, kiedy go żona nie tylko zdradza, ale afiszuje się publicznie z kochankiem, zachował się w sposób równie rozsądny i przyzwoity. Takiego męża życzyłbym każdej kobiecie. Tyle tylko, że to nie jest Karenin z „Anny”.

I wreszcie Wroński, który musi być tym kochankiem, jaki zdarza się raz na stulecie, który jest jednocześnie ofiarą i katem. Którego miłość zdruzgotuje.

Nie ma „Anny Kareniny”, jeśli nie wychodzimy z teatru z przeświadczeniem, że nie można żyć w świecie, który znieprawia miłość, że nie można żyć w świecie nieniedzy, ucisku, obłudy i kłamstwa, że nie można było żyć w carskiej Rosji. Tego wielkiego, wstrząsającego Tolstojowskiego krzyku Rotbaum nie usłyszał. „Anna Karenina” wrosła z oburzenia moralnego i całej powieści drży tym oburzeniem. Tolstoj przepalił nim wszystkie jej karty. Wrocławski spektakl jest pochwałą konwensansu i ocieka płaskością. I to mnie w tej przeróbce oburza. Żal mi „Anny”. Na długo mi tę powieść zepsuto.

Teatr włożył w przedstawienie wysiłek ogromny. Nie potrafię powiedzieć, czy to jest pochwałą czy zarzutem. Artur Młodnicki jako Karenin był znakomity. Grał z rzadką kulturą gestu, do środka, czuć było, jak się w nim zatraskują namietności. I poprowadził swoją rolę bezbłędnie. Ale nie Karenin powinien być bohaterem, tylko Anna. Janina Zakrzewska była Anną małego formatu, przyciętą nożyczkami adaptatora. Miała kilka scen pięknych i nasyconych wzruszeniem: nocna rozmowa z mężem, scena z synem, dwie pierwsze sceny z Wrońskim. Doskonale nosiła stylowy kostium, miała finezyjny gest, sporo czułości. Brakło jej wielkiego miłosnego zaciadzenia. I dlatego w trzecim akcie stawała się coraz bardziej płaska.

Zupełnym nieporozumieniem było obsadzenie Igora Przegródzkiego w roli Wrońskiego. Przegródzki był bazikiem, nie był kochankiem. Karenin wyrastał ponad niego o dziesięć głów. Scena samobójstwa była śmieszna i nadaje się po doświadczeniach premierów do skreślenia. Bardzo cenie Przegródzkiego, ale nie wolno było nim tej roli obsadzać. Reżyser wyrządził mu po prostu krzywdę.

W epizodach doskonała była tym razem Martynowska. Na królową się nie nadaje, ale księżnę gra bezbłędnie. W czterech replikach stworzyła charakter. Halina Dobrowolska była interesująca, ale nie stylowa i zbyt nowoczesna. Podobała mi się jeszcze Wiśniewska jako Dolly i zauważyłem piękną dykcję Jadwigi Hańskiej w roli matki Wrońskiego.

Dekoracje zasługują na wszystkie pochwały. Lampy były takie piękne, że chętnie bym je sobie kupił na wyprzedazy. Kostiumy prześlicznościowe. Niestety, nie chodzę do teatru, by oglądać lampy, meble i lokomotywy.

Jan Kott

Teatr Polski we Wrocławiu, Lew Tolstoj: „Anna Karenina”. Adaptacja sceniczna w 3 aktach (osiemnastu obrazach) Jakuba Rotbauma. Przekład Kazimierz Makowiczówny. Inszenizacja i reżyseria Jakuba Rotbauma. Dekoracja Aleksandra Jędrzejewskiego. Kostiumy Jadwigi Przegródzkiej. Premiera 29 listopada 1958 r.